Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 29.** **Leszno, dnia 16. Stycznia 1836.**



Klasztór Tyniecki.

Nie daleko Krakowa, nad bystrą Wisłą, stoi wspaniałe i najbogatsze niegdyś w Polsce, a dziś ku ruinie chylące się opactwo Tynieckie, zbudowane na skale, która w odległych wiekach mocną Wiśle była zaporą, później skutkiem zapewne gwałtownéj rewolucyi ziemi, na dwie rozpadła się części, a jéj środkiem teraz Wisła wązkiem przedziera się korytem. Miejsce to wielce od pogan Polaków poważane, nie uszło bystremu oku Bolesława. Kronikarze wsparci na podaniach ludu, wspominają, iż w czasie przyjęcia wiary ś. przez Polaków, stał na skale téj zamek, w którym Wałgierz wdały małżonkę swą Helikundę wraz z jéj zwodzicielem, srogą ukarał śmiercią. Pewniejsza wiadomość jest iż na gruzach dawnego grodu, wybudował (1109) na tynieckiéj skale Bolesław Chrobry z żoną swą Judytą kościół na cześć S. Piotra i Pawła, wraz z wspaniałym klasztorem, który oddał OO. Benedyktynom, z obcych krajów sprowadzonym. Kromer utrzymuje, iż opactwu Tynieckiemu dał początek Kazimierz I., pomny na żywot swój zakonniczy, lecz uczony Naruszewicz dostatecznie dowiódł, iż Tyniec pierwszy swój zakład Bolesławowi Chrobremu winien, późniejsze dopiero uposażenia od następców jego odebrał; może nawet być, iż Kazimierz powtórnie z Kluniaku (1044) nowych z Aaronem opatem Tynieckim, a późniéj biskupem Krakowskim, ściągnął do Polski zakonników, którzy lepszy porządek wprowadzili, co jakoby za drugi zakład uważano. Historyą opactwa Tynieckiego, ze wszystkiemi z archiwum klasztornego wyjętemi przywilejami i dowodami, skreślił znany z pism swoich historycznych St. Szczygielski, Benedyktyn. Tyniec był najbogatszym klasztorem w Polsce, tak, że Starowolski podaje, iż opata jego panem pięciu miast i 100 wsi nazywano: co do powagi

miał także opat Tyniecki wielkie pomiędzy Benedyktynami polskimi znaczenie, albowiem do niego odwoływano się, i zasięgano rady w wątpliwych przypadkach.

Świątynia wspaniała, z daleka już zajmuje oko widza: gmachy klasztorne wygodnie mieściły do 90 zakonników, w których gronie nieraz znakomite przebywały osoby. Tak, gdy w roku 1467 powietrze w Krakowie panowało, schronili się tutaj synowie Kazimierza Jagiellończyka z nauczycielem swoim Długoszem, i mieszkali przez kilka miesięcy. Po skasowaniu klasztoru, rozproszyli się zakonnicy, a dobra ich poszły na skarb. Rząd Austryacki przeznaczył Tyniec Jezuitom, gdzie do roku 1816 zostawali. Dziś, aby do dawnéj gmachy podupadłe przyprowadzić pory, wielkich potrzeba nakładów. Obronne na skale Wisłą okrążonéj położenie Tyńca, ważném było dla związku barskiego w roku 1772; dziś, po wydoskonaleniu sztuki wojennéj, nie miałoby takiego znaczenia.

Strachy.

Dawniejszemi czasy, w każdym niemal domu pokutowało: wszyscy o tém gadali, jako o rzeczy najpewniejszéj, jedni drugich w przesądach utwierdzali; nie dziw zatem, że nareście zgłupiawszy zupełnie, gotowi byli przysięgać, iż to na własne oczy widzieli, o czém im od dzieciństwa bajano. Z téj powszechnéj głupoty korzystali oszusty: przebierali się za duchów, straszyli łatwowiernych, i zawsze prawie spodziewać się mogli obfitego obłowu.

Lecz pocóż pamięcią dawnych sięgać czasów? czyliż jeszcze teraz pomiędzy wiejskim ludem nie panują podobne przesądy? O czémże to wieśniacy w czasie długich wieczorów rozmawiają, jeżeli nie o strachach, mniemanych pokutowaniach? W czem najlepiéj usługują piastunki, strasząc dzieci bobakami, aby niepłakały: a tak z młodości wpajają w nie zabobony, które późniéj wykorzenić trudno.

Podobno każdy z naszych czytelników doświadczył jakiéj nocnéj ze strachem przygody, lub przynajmniéj słyszał o podobnéj awanturze, jakiéj piszący naocznym był świadkiem.

Byłem wtedy w szkołach jezuickich w Kaliszu, jeszcze przed ostatnim pożarem tego miasta. Na Warszawskiéj ulicy mieszkało obok siebie dwóch szewców: w niskim i ubogim domku mieścił się wielki partacz, pijak i oszust; dla tego mało miał roboty, a co zarobił, zaraz przez gardło przepuścił; jednak nie wiedzieć zkąd, miał się jeszcze za co upijać. Obok niego, w porządnym dworku mieszkał zawołany majster Laskowski, rodem z Warszawy: był to człowiek poczciwy, trzeźwy, bogobojny, a przytem bardzo pracowity. Nie dziw więc, że miał zawsze wiele roboty: Palestranci, studenci prawie wszyscy od Laskowskiego brali obuwie. Z téj przyczyny musiał się zaopatrzyć w znaczny zapas skór, które na górze były złożone. Dawniéj nie utrzymywano tak ścisłych rejestrów, jak teraz: majster Laskowski skór swoich nigdy pewnie nie liczył, lecz widząc zmniejszający się zapas, sprowadzał nowe z Wrszawy. — Lubo się miał dobrze, lubo był od wszystkich znajomych dla swéj rzetelności szacowany, niestety! nie był szczęśliwym! Bo jakże mógł być swobodnéj myśli, kiedy ustawicznie coś na górze przeszkadzało? Skoro tylko wybiła godzina 10ta, zaraz zaczynało pokutować: było to coś podobnego do ciągłego grzmotu, który przesuwając się na górze z jednego miejsca na drugie, i ogromnym łoskotem przerywając nocną ciszę, przerażał wszystkich domowników. Wiadomo, że ta professya nie rodzi zbytecznego męztwa, co zapewne pochodzi z ciągłego skurczenia ciała nad pracą. Dosyć, że skoro tylko ciemniało, nikt już wtedy nie śmiał wychylić się za drzwi, choć było czasem i 10 czeladników w izbie. Upływały dni, tygodnie i miesiące, a strach coraz groźniejszym się stawał, coraz okropniejsze sprawiał grzmoty, i przeraźliwsze wydawał jęki.

Biedny szewc, poczytując te strachy za oczywistą karę Boga, martwił się bardzo; udawał się do zwyczajnych wtedy sposobów wypędzania złych duchów: modlił się gorąco do Śgo Józefa, dawał na msze ś. Ale wszystko napróżno. Wezwał nawet znanego wtedy z pobożności xiędza Chęckiego, aby mu dom pobłogosławił, i strachy zażegnał. Xiądz się modlił, kropił wszystkie kąty święconą wodą; a na wieczór duch przeklęty znowu płatał swe figle, i coraz tęższym grzmotem większy jeszcze szerzył postrach.

Zdarzyło się, że pewien podróżny czeladnik odważniejszego serca od swych bojaźliwych towarzyszów, oświadczył się z tém, że chce poznać tego ducha, i poszedł na górę. Lecz gdy ujrzał białą zupełnie postać, postępującą wolnym krokiem, przepasaną czarną śmiertelną przepaską, z maczugą w ręku, gdy wreście dostał w łeb kością; nie czekając dalszego spotkania, uskuteczniwszy jak najprędszy odwrót, przysięgał przed swymi kollegami, iż widział potępieńca, któremu nawet iskry z ust się sypały, a ślepie błyszczały, jak dwa żarzące się węgle. Po takim wypadku, nikt już nie okazywał ochoty zabrania bliższéj znajomości z tak złośliwym potępieńcem. — Przyszło do tego, że szewc postanowił przedać dom, w którym nie miał spokojności, i gdzieindziéj przenieść swój warsztat.

Wieść o tych okropnych strachach wkrótce się po całem mieście rozeszła: szczególniéj zaś studenci, na téj ulicy, u różnych rzemieślników mający gospody, bardzo się gorliwie temi strachami zajmowali, a nawet raz w klassie zaczęli opowiadać professorowi, jak okropnie u szewca Laskowskiego pokutuje. „Dzieci! odezwie się xiądz Widlak, professor klassy piątéj, temu strachowi trzeba koniecznie zajrzeć w oczy: nie-

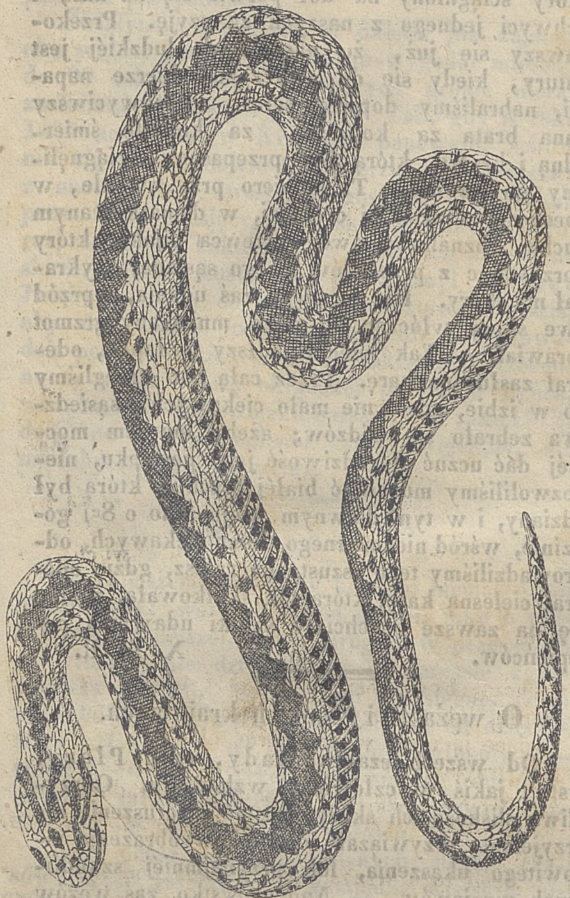
masz to pomiędzy wami nikogo, któryby się nie uląkł nocnego straszydła? Kto ma serce i czyste sumienie, niechaj idzie śmiało na to spotkanie, i sprawi się, jak na studenta przystoi.“ Ta przemowa rozsądnego professora, miała ten skutek, że zaczęliśmy o tem rozprawiać, układać różne plany, dodawać sobie odwagi i zachęcać się do téj nocnéj wyprawy, tak pożądanéj dla młodzieńczéj rozżarzonéj imaginacyi. Był pomiędzy nami uczeń jeden, nazwiskiem Banachowicz, nie wielkiego wprawdzie wzrostu, ale sztuka nadzwyczajnie śmiała. Ten nam najwięcéj serca dodał. „Jeżeli wy niechcecie, rzekł do nas, to ja sam pojdę.“ Niechcieliśmy opuszczać naszego kollegi: zebrało nas się dwunastu, i poszliśmy wieczorem do mieszkania Laskowskiego, oświadczając mu nasz zamiar. Przestraszony szewc, chciał nas wszelkiemi sposobami odwieść od tego śmiałego przedsiewzięcia; lecz widząc naszę stałość, zezwolił nakoniec: kazał zapalić 6 świec. Ułożyliśmy plan, potem rzucaliśmy losy, gdzie kto czuwać będzie. Na mnie wypadło zająć najniebezpieczniejsze miejsce, to jest na ostatnim stopniu schodów, prowadzących na górę, Banachowicz z jednym kollegą, zajmował środkowy stopień, Kramplicz na dole, reszta roztaborowała się w sieni. Świece paliły się w izbie i w sieni. Tak więc, poleciwszy się Bogu i Śmu Józefowi, patronowi miejscowemu, czekaliśmy zjawiska. Ja siedziałem jak ścięty, oparty tyłem o jakąś solowkę, która tam stała: od chwili do chwili podnosiłem ze strachem oczy, czy gdzie pod dachem nie ujrzę nocnego potępieńca. W tym okropnym stanie przepędziliśmy godzinę. Już wybiła jedenasta, a nic nie było widać, ani słychać: lecz nareście zwróciwszy lękliwy wzrok w ową stronę, ujrzałem ducha, spuszczającego się z dachu: przecieram lepiéj oczy, duch a duch, a do tego jeszcze potępieniec w śmiertelnéj koszuli: rozczochrane włosy, twarz blada, słabym xiężyca, przedzierającego się przez szczeliny, oświecona blaskiem: jednem słowem toż samo straszydło, o którem już tyle razy słyszałem. Struchlałem na ten okropny widok! Cóż dopiero, gdy się odezwał grzmot straszliwy, umarłem prawie ze strachu; siedziałem jednak na miejscu, nie mogąc się ani ruszyć, ani słowa wymówić. W tem naraz, niewiem jakim sposobem, jak piorunem rażony, spadłem z góry na schody, i powaliwszy sobą siedzących tamże studentów, spadłem razem z nimi na ziemię: huk okropny rozległ się po sieni, a potem jakaś śnieżna chmura zasypała nas wszystkich. Banachowicz pierwszy odzyskał przytomność: bierze świecę, ogląda się po sieni, i spostrzega solówkę na ziemi, a po całéj sieni porozrzucane i wszędzie latające pierze, którem obsypani, sami mieliśmy postać potępieńców. Tém odkryciem ośmieleni, postanowiliśmy wstępnym bojem natrzeć na ducha. Wchodzimy na górę ze świecą, postępujemy naprzód ostrożnie, aż tu coś białego mignie nam się za kozłem: biegniemy prędko w to miejsce, i zdążyliśmy jeszcze przytrzymać ducha za nogę, który ściągniony na dół porwie się na nas, i uchwyci jednego z naszych za szyję. Przekonawszy się już, że nasz duch ludzkiéj jest natury, kiedy się do zwyczajnéj bierze napaści, nabraliśmy dopiero serca. Pochwyciwszy pana brata za kołnierz, za koszulę śmiertelną i krajkę, którą był przepasany, ściągnęliśmy go na dół. Tu dopiero przy świetle, w obecności wszystkiéj czeladzi, w demaskowanym duchu, poznaliśmy owego szewca pijaka, który korzystając z przesądów swego sąsiada, wykradał mu skóry. Dla lepszego zaś udania, wprzód owe skory włócząc po górze, mniemany grzmot sprawiał. — Tak więc wpadłszy w łapkę, odebrał zasłużoną karę. Przez całą noc strzegliśmy go w izbie, gdzie nie mało ciekawych z sąsiedztwa zebrało się widzów; ażeby mu tem mocniéj dać uczuć niegodziwość jego postępku, niepozwoliliśmy mu zdjąć białéj płachty, którą był odziany, i w tym dziwnym stroju rano o 8éj godzinie, wśród niezmiernego tłumu ciekawych, odprowadziliśmy tego oszusta na ratusz, gdzie odebrał cielesną karę, która tak skutkowała, że mu się na zawsze odechciało sztuki udawania potępieńców. X. A. R.

O wężach i żmijach krajowych.

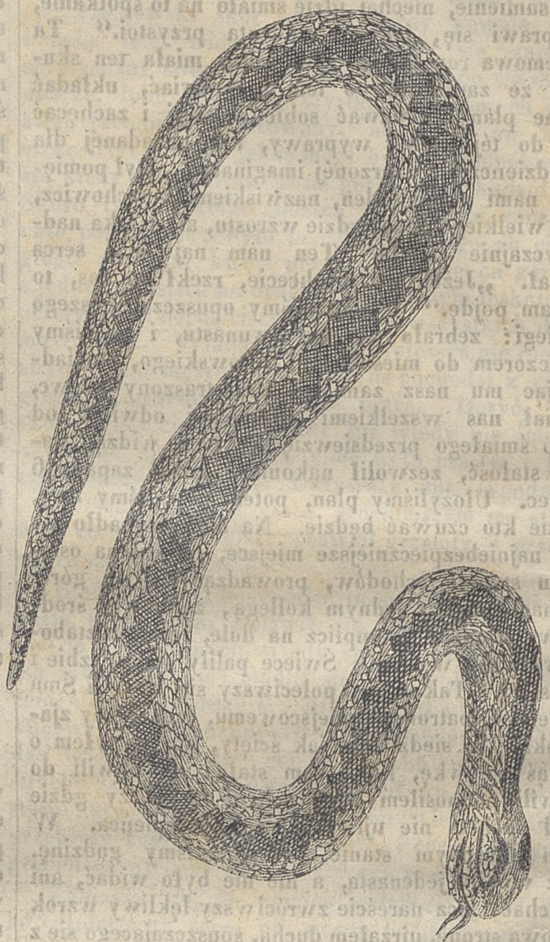
Od wszech czasów Gady, czyli Płazy, wstręt jakiś w człowieku wzbudzały. Obrzydliwa śliskość ich skóry, postać i poruszenia nie przyjemne, przywiązały do nich wyobrażenia jadowitego ukąszenia, lub przynajmniéj szkodliwych wyziewów. — Nadewszystko zaś wężów rodzaj ohydne wrażenia w ludziach wzniecał, i w tym względzie trudno zaprzeczyć, aby ten wstręt miał być nie ugruntowanym. Doświadczoną jest jadowitość niektórych Europejskich wężów, a to, co nam powiadają o okropnych potworach tego rodzaju w innych częściach świata, powiększa naszą odrazę do krajowych nawet wężów. Wszelako są między niemi zupełnie nieszkodliwe i użyteczne nawet gatunki. Warto jest zatem poznać je i rozróżnić, aby się już nie każdego bać ukąszenia, bo w téj mierze, jak w wielu innych przypadkach, rozogniona imaginacya, powiększyć może złe skutki nieszkodliwéj nawet rany. Dajemy tu więc krótki rys istniejących w naszych stronach wężów, wskażemy ich mniejszy lub większy stopień szkodliwości, i nakoniec sposoby ratunku, przeciw złym skutkom ukąszenia.

Oprócz sławnych na Podolu wężów olbrzymich, Połozami zwanych, o których wiele mówiono, ale których nikt dotąd nie udzielił dokładnego opisu ani rysunku, i które może już nie istnieją; w innych częściach dawnéj Polski ośm liczymy gatunków wężów, a te są: Padalce, dwa gatunki właściwych wężów,

Żmiia szara.



Żmiia ruda.



pięć gatunków żmij. — Z tych wszystkich same tylko żmije są jadowite.

Padalec jest najmniejszy gatunek węża, bo tylko pół łokcia długości domierza. — Kolor jego orzechowy, ruch powolny, a ciało tak kruche, że przy lekkiém nawet uderzeniu, rozpada się na części. Ztąd imię Padalca mu dano. — Niemcy nazywają go Blindschleiche a Francuzi Orvet, zupełnie jest nieszkodliwy.

Węże właściwe. Tych dwa są gatunki. Jeden z wierzchu orzechowy, drugi szary. Oba długości półtora łokcia, oba równie jak Padalce bez wszelkiego jadu, ostatni gatunek w niektórych stronach domowym wężem nazwany, nietylko nie jest szkodliwym, ale od wszech czasów spoufalany był z ludźmi. Ten to jest wąż, którego dawni Litwini w pogańskich czasach uwielbiali, i za domowego uważali bożka. — Dziś jeszcze w wielu miejscach przesąd gminny upatruje w tych wężach, równie jak w bocianach nasłanych stróżów domowéj pomyślności. Przyswojone do włościan i zamieszkałe w chatach przechadzają się te węże po podłogach. Wciskają się w pościel, śpią z małemi dziećmi w kolebkach, igrają z niemi, i wypijają mleko z garnków. Tego też gatunku wężów używają Guślarze i Szarlatany, aby przewijając je około rąk i szyi, dziwną sobie nadawać postać i durzyć gmin nieumiejętny. Wreście ten szary, czyli domowy wąż, żyje i w wodzie, i zręcznie po niéj pływa. — Niemcy go nazywają Natter, a francuzi Couleuvre.

W ogólności węże i Padalce lubią miejsca wilgotne, bagna, i lasy błotniste. Pokarmem ich są owady, gąsienice, glisty, żaby i ropuchy, które w wielkiéj liczbie wytępiają, w czém nam istotną czynią przysługę.

Żmije poznają się po krótszém i płaższém ciele. Są też szersze w stosunku ich długości, ta zaś nie przechodzi trzech ćwierci łokcia. Z tych jeden tylko gatunek żyje w bagnach, który jest ciemno czarny. Inne wszystkie są mniéj lub więcéj szare, z wielką pręgą ciemniejszego koloru na grzbiecie. Te ostatnie przemieszkiwają po miejscach suchych, to w gęstych cieniach, to pod kupami nieruszanych z dawna kamieni, to nakoniec między urwiskami skał. — Ruch ich jest daleko powolniejszy, jak właściwych wężów. W chwili tylko zagniewania, skaczą do człowieka, ale zaraz po ukąszeniu, wracają do zwyczaj-



Kairo.

néj im powolności. Jad ich nie jest, jak mylnie gmin utrzymuje, w długim języku, który z paszczy wysuwają, i który niewłaściwie **żądłem** przezwali; ale w kilku zębach zwierzchniéj szczęki. Ten jad tak jest działający, że z nieżywéj nawet żmii wytryśnięty na jakąkolwiek zadraśniętą część ciała ludzkiego, w ten moment ją rozogni, i te same skutki sprawia, jak przy ukąszeniu żyjącego gadu. — W niektórych stronach Polski nazywają żmije **Gadzinami.** Niemcy je zowią **Otter**, a Francuzi **Vipére.** Przyłączona rycina wystawuje dwa gatunki ciemnocentkowanéj żmii.

Rozmaite są podług indywidualności osób skutki ukąszenia żmii. Rzadko jednak się trafia, aby takowe o śmierć przyprawić miały. Symptomata bywają niekiedy gwałtowne, jako to: palący ból w ranie, puchlina otaczającego ją ciała, daléj gorączka i palenie, ckliwość, womity, ciśnienie piersi, bicie serca, i mdlenia. — Ale najczęściéj natura pokonywa działanie jadu, a powyższym symptomatom łatwo zaradzić można.

Zwyczaj to pospolity, że ukąszony od żmii członek, mocno przewiązują wyżéj rany, w mniemaniu, że tym sposobem przetnie się jadowi droga do dalszego ciała. Takowe przewiązanie nie tylko nie jest pomocném, ale częstokroć gangrenę na obrażony członek sprowadza.

Przyłączamy poniżéj sposoby, jakie z wielokrotnego doświadczenia okazały się być najskuteczniejszemi przeciw ukąszeniu żmii. Wyczerpaliśmy je z dzieła **Paulickiego: Medycyna dla włościan.**

Nasamprzód trzeba ponacinać ranę, (która za zwyczaj bywa bardzo mała) i obmyć ją wodą ciepłą, lub też uryną. Potém trzeba ranę i otaczające ją ciało wysmarować oliwą, i tę nad żarem trzymając, z lekka wcierać wewnątrz rany, szarpią zwilżoną olejem na nią przykładać, i płatkiem płóciennym lub bibułą, w oleju zmaczaną, obwijać.

Jeśli tego wszystkiego nie ma pod ręką, można naparzać członek przez kwadrans ciepłém mlekiem, a potem wpuszczać w ranę sok z czosnku lub z cebuli — albo nakoniec, kiedy już niemożna inaczéj, nasypać trochę prochu na ranę i zapalić.

Co dwie lub trzy godziny trzeba dać choremu po dziesięć kropli **płynu amoniakowego lotnego** z wodą; a jeśli tego mieć nie można, co dwie godziny po łyżce oliwy, w braku oliwy, można użyć jakiegokolwiek oleju.

Chory zaś powinien wstrzymać się od wszelkiego gatunku wina, wódki, lub innego mocnego napoju, tudzież płynów kwaśnych; a obficie pić herbatę z bzowego kwiatu, albo mleko ciepłe, dla dostania potów, na których główny polega ratunek.

Kairo, miasto stołeczne w Egipcie.

W całym świecie nie masz pewnie miasta, przedstawiającego nam więcéj osobliwszych widoków, jak Kairo. — Ktoby chciał powziąć jakieś wyobrażenie, o owym bajecznym starożytności labiryncie, niechaj tu przyjdzie; ostrzedz go jednak muszę, aby się wprzód opatrzył w kłębek Aryadny, i z nim dopiero puścił się w te

wężykiem pokręcone, wąskie, — same w sobie ginące ulice. — Przytem nie radzę osobie zbyt na cierpienia i niedolą bliźniego tkliwéj, — zbyt delikatném obdarzonéj czuciem, zwiedzać miejsc tych, kędy dopiero poznać można, co to jest nędza.

Ogół miasta jest to zbiór lichych lepianek, świetnych pałaców — miast, wsi — z małemi tylko przedziałami wód, — pól obsianych, lasków i ruin. — Połączenie bowiem starego Kairo, Bulaku, i wyspy Rodda, nadaje właściwemu miastu Kairo postać olbrzymią i dziwną. — Liczą pospolicie w tem mieście 240 głównych ulic — 25000 domów mieszkalnych, 400 meczetów, — prócz tego znaczną liczbę szkół, — w których Ulemowie udzielają nauk. — Znajduje się tam także, 300 publicznych cystern, 1170 kawiarni i 65 łaźien. — Ulice tak są ciasne, że pojedyńcze powózki, zaledwo w nich przecisnąć się mogą. — Piesze zaś chodzenie utrudza nieczystość bruku i wilgoć, pochodząca z ustawicznego krzyżowania się długich szeregów koni, wielbłądów i osłów, obładowanych naczyniami z wodą. — Wilgoć ta nigdy nie wysycha, — bo pochyły sposób budowania domów, stykających się z sobą prawie wierzchem ku środkowi ulicy, nie przepuszcza wcale promieni słonecznych. — Za temi ulicami, ciągną się sady owocowe, gaje drzew figowych, oranżerye i miejsca publicznych przechadzek. Wszystko to nosi na sobie cechę orientalności.

Jak ulice i położenie miasta przedstawiają obraz nieładu, — podobnie malują nam i wewnętrzne stosunki, scenę zamieszania. — Tłumnie toczy się po ulicach mnóstwo ludzi, koni, osłów; toczy się i miesza, bo nikt nie myśli ustępować drugiemu. — Tutaj przewrócił biegnący wielbłąd pakę trzciny cukrowéj, którą kupczy uboga arabka; ta szereg przeklęctw i złorzeczeń miota za uchodzącym. — Tam potrącony ku ziemi nosiwoda, od owego jeźdzca, przed którym idący jańczar, kijem w srebro oprawnym, drogę sobie toruje. Pastucha w łachmanach, prosząc przechodniów o ustęp, ustawicznie donośnym głosem powtarza, „garuk, riguelak, szummalak.“ Owdzie znów stoi na wpół nagi Santon (święty) — właściwie zaś głupiec, i gromadzi na około głupszych od siebie, co chciwie przepowiedni jego słuchają. — Na rogu każdéj ulicy, postrzeżesz odartego improwizatora, który za kilka parasów, wyleje pochwalnych wierszy tysiące. — Krzyki przejeżdzającego woźnicy, odbierającego od przechodniów szturchańce, lub ściśnionych w natłoku, złączone z głosem przekupniarzy, nędzarzy proszących o jałmużnę, tak silne zwłaszcza na cudzoziemcu, wywierają wrażenie, że odurzony i upojony tą niesłychaną wrzawą pojąć się sam nie może.

Wśród takiego zamieszania, mnóstwo nadzwyczajne uwija się dzieci, których miedziany kolor, brudem i nieochędostwem więcéj jeszcze zczerniony, dziurawe, nieczystością ulic zbrukane odzienie, nieprzyjemny sprawują widok.

Niewolnice, przy odgłosie piekielnéj jakiejś tańczące muzyki; — żydzi zachwalający każdemu swój towar, moc niezliczona wyjących psów; wszystkie prawie zawalają ulice.

Nawet i po zachodzie słońca, nie ustaje jeszcze ta scena powszechnego zamieszania. Kiedy na reszcie świata po za miastem, wszędzie już głuche panuje uśpienie, tutaj nowe rozpoczyna się życie. — Tysiące małych światełek zawisłych wśród nieprzejrzanéj ciemności, nadają miejscom tym jakiś właściwy urok. — I teraz wrzawa jak za dnia: tu słychać wyraźnie brzęczące dźwięki dzikiéj muzyki; zapowiadają one zbliżanie się ślubnego obrzędu, bo tutaj nocą się tylko zaślubiają. – Młoda narzeczona, białą zasłoną aż po ziemię okryta, jak duch biały suwa się pod baldachimem, wśród poważnych wiekiem matron. — Długi szereg współbiesiadników i dzieci, towarzyszy jéj głośnemi okrzykami radości, które echem po najdalszych miasta odbite zakątkach, gdzieś tam dopiero nikną pod niebem.

Z każdą chwilą coraz grubsza ciemność, bo z każdą chwilą gaśnie świateł kilka; a z ubywającém światłem, zmniejsza się wrzawa rojącego się tłumu. — Wnet wszystko ucichło. — Nędzarz, który bez kłopotu na przyszłość, chwile bez troski pędzi, zasunąwszy na twarz swój turban, legł w miejscu, kędy go noc zaskoczyła.

Ow ruch — owo zamieszanie, ustąpiło milczeniu — cisza! Czasami przerwą ją tylko szczekania psów lub jednostajne pienia bogobojnego Muzułmana, czuwającego na modlitwie. — Oto jest Kairo! B.

Chopin.

(Ciąg dalszy.)

Sława Chopena jako kompozytora, zaczyna się w Niemczech, Anglii i Francyi od wyjścia dzieła: La ci darem la mano, Varié par Fr. Chopin. Ouvre 2.

To dzieło zrobiło nadzwyczajne furore w Europie. Najwięksi nawet przyjaciele szkoły dawniejszéj przyznali mu wyższość, nad wszystkiemi innemi. Pisma muzykalne były napełnione recenzyami: pomiędzy niemi „Rapsodye“ przez **Wicka**, i fantastyczne doniesienie przez **Schumana**, utalentowanego fortepianistę i bardzo dobrego kompozytora w Lipsku, zdają mi się najlepsze. Pierwsze umieszczone są w dzienniku der Komet rok 1832 str. 54. i w Revue musicale; drugie w Allgem. musikalische Zeitung Nr. 3. Daję tu wyjątek z artykułu Schumana: może on w części przynajmniéj dać poznać czytelnikom zapał, z jakim początkowe to dzieło naszego ziomka przyjęto, zarazem posłużyć do lepszego zrozumienia samej kompozycyi.

Dzieło drugie: „Euzebiusz wszedł po cichu do pokoju. Znasz ów ironiczny uśmiech na jego bladéj twarzy, obudzający ciekawość. Siedzia-

łem właśnie z Florestanem przy fortepianie: jest to, jak wiesz, jeden z owych rzadkich geniuszów, które całą przyszłość przeczuwają, i w oka mgnieniu wszystko obejmują. Euzebiusz przeciwnie równie fantastyczny jak powolny, słodycz z jednego kwiatu po drugim wysysa, trudniéj, lecz lepiéj pojmuje, rzadziéj, ale dłużéj i oszczędniéj jéj używa: jego gra jest też rozsądniejszą, delikatniejszą, i mechaniczniéj doskonalszą. — Wyrzekłszy te słowa: „panowie! oddajcie cześć i pokłon gieniuszowi“ rozłożył Euzebiusz nóty: tytułu niedozwolił nam jednak zobaczyć. W myślach przewracałem poszyt: to skryte przezieranie muzyki bez tonów, ma coś czarującego w sobie. Nadto każdy kompozytor, ma sobie właściwy układ nót dla oka. Beethoven inaczéj na papierze wygląda jak Mozart, tak jak np. proza Jean Paula inaczéj, jak proza Goetego. Tu zdawało mi się, że same nieznajome źrenice dziwnie na mnie spoglądają — źrenice — jakby kwiatów — bazyliszków — pawi — dziewic — na niektórych miejscach jaśniéj było — zdawało mi się, iż widzę Mozarta cudne là ci darem la mano w sta akkordów wplecione. No! teraz graj, rzekł śmiejąc się Florestan do Euzebiusza. Euzebiusz usiadł do skrzydła, i grał jak natchniony. Zdawało się, iż tysiące postaci najrozmaitszego życia przeprowadzał przed naszemi oczami, i że duch niewidomy palce nad ich mechanizm wynosił. Oklask Florestana malował się tylko w słodkim uśmiechu, i słowach: „podobne waryacye mógłby był tylko Beethoven napisać, gdyby był wielkim wirtuozem na fortepianie.“ Wziąwszy tytuł kompozycyi i przeczytawszy: Là ci darem la mano varié pour le Pianoforte par Fréderic Chopin. Oeuvre 2. — gdyśmy zdziwieni zawołali „dzieło drugie?“ i nasze twarze z wielkiego zachwycenia ogniem pałały, a z pochwał i wykrzyków mało co więcéj słyszeć było, jak tylko: „to przecie raz coś rozumnego! — Chopin — Chopin! niesłyszałem dotychczas tego nazwiska — któż on? na każdy przypadek gieniusz, — wielki gieniusz“ naówczas powstała scena, którą daremniebym się silił opisać. Rozgrzani winem, Chopenem i żywą rozmową, poszliśmy do mistrza Raro: ten choć z początku mało był ciekawy poznać nową kompozycyą, prosił nas, abyśmy mu ją przynieśli. Obiecaliśmy, iż jutro jego woli zadosyć uczynimy. — Euzebiusz potem, pożegnawszy się z nami, odszedł. Ja jeszcze zostałem chwilę u mistrza Raro. Florestan, biegł przez ulicę, blaskiem xiężyca oświeconą, ku memu mieszkaniu. O północy znalazłem go w moim pokoju, leżącego na sofie: „waryacye Chopena — zaczął na pół we śnie — snują mi się ciągle jeszcze po głowie. Wszystko jest dramatycznem i zupełnie Chopenowskiém. Wstęp choć doskonały, zdaje mi się najmniéj wyrażać? — ale Tema — lecz dla czegoż z B napisane? — Waryacye, Finale, Adagio, to jest nie tylko coś, ale prawie za wiele: tam, w każdym takcie gieniusz się pokazuje. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Beduin.

Na obrazku wystawiony Beduin jest z życia malowany przez Leona de Laborde. Powierzchowność jego nie jest okazała: nie jest to bowiem elegant arabski, lecz sędziwy starzec, który w tym ubiorze nieraz już przebywał Arabii puszcze, a przy poczciwości umie na małém przestawać. Jeden z najnowszych podróżnych tak pisze o Beduinach; „Kłamstwem brzydzi się Arab. Mówię tu o prawych, czystych pokoleniach arabskich, nie o hołocie, która wprawdzie po arabsku mówi, lecz właściwie innego jest rodu. Mniemanie, jakoby Beduini byli rozbojnikami, dopuszczającymi się największych okrucieństw, jest tylko przesądem. Żyjąc w ustawicznéj z sąsiadami wojnie, znają tylko przyjaciela lub wroga; lecz Arab woli z żoną i dziećmi z głodu umrzeć, niż ruszyć kawałek chleba, który mu został powierzony. Przy jego ognisku podróżny spokojniéj spoczywa, niżeli za najmocniejszym zamkiem. Myśl powierzania Beduinom karawany, jest najpewniejszym sposobem zabezpieczenia onéjże: nie było przykładu, żeby na szeląg co zginęło, lubo w tych nieprzejrzanych puszczach są udzielnymi panami, a wszelka pogoń bezskuteczną by była. Turków znają Beduini tylko z ich gwałtów, żydów i chrześcian z przebiegłości i oszukaństwa. Dla tego buntują się przeciwko pierwszym, kiedy tylko mogą, łupią drugich, skoro im się tylko sposobność poda. Lecz, gdy najzaciętszy nawet nieprzyjaciel, wszedłszy do ich namiotu, wyrzeknie, „gościem twoim jestem!“ żadna potęga w świecie nie skłoni ich do zemsty. Wojny pomiędzy pokoleniami powstają o granice pastwisk, awantury miłośne, a szczególniéj z owego okropnego prawa odwetu, które w Koranie jest zasadą sprawiedliwości. Rodzina utraciwszy kogo w wojnie lub innym jakim sposobem, zostaje odsądzoną od czci i wiary, dopóki się zemstą z téj niesławy nie wykupi. Obyczaje Arabów bardzo są surowe: pocałowanie niewiasty pociąga za sobą karę śmierci. Ojciec, bracia rozsiekają na sztuki nieszczęśliwą dziewicę, która się dopuściła téj słabości; a potém łzy wylewają na jéj grobie.

W Październiku 1834 roku, widziano w Marsylii całą rodzinę Beduinów, trzech mężczyzn i trzy kobiety: dawniéj widziano tylko pojedyńczych arabów; ale to już były eleganty, którzy, aby większy sprawić effekt na cudzoziemcach, poprzebierali się paradnie, jak w domu pewno niechodzili. Odzienie mężczyzn składa się z materyi czarnéj lub brudno ciemnéj, które do połowy tylko nóg sięga: z resztą używają białéj lnianéj płachty, ta całe ciało okrywa, służąc im za płaszcz, surdut, pościel i parasol. Prócz tego na głowie brudny turban, lub też czerwona czapeczka, z kutasem: na nogach



Beduin.

mają sandały: Beduini w puszczy najczęściéj boso chodzą. Nie bardzo wysokiego są wzrostu, ale brody mają długie po pas. Po obu stronach czoła spadają czasem kędziory. Rysy twarzy, zwłaszcza w młodzieży dość łagodne, wydają nieśmiałość: starszych zaś wzrok błyszczący zdradę znamionuje. Dziad prowadził młodego swego wnuka za rękę, przecudnéj urody młodzieńca. Z kobiet dwie prawie w zgrzybiałym już były wieku, ubrane podobnie jak mężczyzni. Najmłodsza zaś, to jest matka chłopca, ściągała na siebie uwagę wszystkich: chociaż już trzydziestoletnia, mogła jeszcze uchodzić za piękność; a zasłonę umiała odrzucać na bok z gracyą, nigdy jednak twarzy nie zasłaniała. Kibić szlachetna, cera rumiana, a oczy błyszczały jak dwa diamenty w axamit oprawne.

Pan Dąbrowa.

(Pieśń gminna.)

Wyjechał pan na poleczko
Spotkał pannę, Zosineczkę,
I zawiózł ją do rodziny,
Do swéj matki, do jedynéj.

„Moja Matuś, ja cię proszę
„Wychowaj mi moję Zosię;
„Jak do roczku, do siódmego
„Do przyjazdu, do mojego.“

Siódmy roczek już nadchodzi
Już się Zosi za mąż godzi;
Pan Dąbrowa z wojny jedzie,
Trzysta koni z sobą wiedzie.

A do domu przyjechawszy,
Po pokojach poglądawszy;
„Moja Matuś, jak cię proszę,
„Wydajże mi moję Zosię.“

„„Wydałam ją za innego,
„„Za trębacza królewskiego.““ —
„A dajcie mi te piszczele
„Pójdę jéj grać na wesele.“

„„Nie chódźże tam, bobyś zdradził,
„„Weselebyś rozprowadził.““
„Matulinku nie na zdradę,
„Do Zosinki na biesiadę.

„A stanę ja w końcu stoła
„Zobaczy mnie Zosia moja.“
Zosia także zobaczyła
Przez trzy stoły przeskoczyła:

„Witajże panie Dąbrowa
„Siedem lat mnie boli głowa,
„Dopiero mi wyszumiała,
„Jakem ciebie oglądała.“ —

Wieśniacy śpiewają na wieńcu:

U naszego Jegomości dobry rozsądek,
Wystawił nam beczkę piwa, i wódki sądek.
Nadedworem wielka burza,
Nasza Jejmość, kieby róża;
Nadedworem wielka chmura,
Nasz ekonom jako rura.
Na sadzawce płyną kaczki,
A nasz włódarz zjada flaczki.
Przededworem leży kamień,
Nasza pani siedzi na nim,
Siedzi, siedzi, uśmiecha się,
Gdyby roża rozkwita się.
A na wieczór pada rosa,
Nasz Jegomość gdyby osa.
Nasza pani jako łania,
Nasz ekonom gdyby bania.

Korrespondencya turecka.

W Turcyi nie znają wcale poczty; dla tego rząd i majętniejsi kupcy posełają listy własnym kosztem przez umyślnych posłańców, Tatarów, czyli gońców. Ludzie prywatni oczekują przybycia karawany, przez którą posełają listy. Lecz ponieważ Turcy nie mają nazwisk familijnych, a ulice miast także są bezimienne, przeto trzeba się udać do jakiéj znajoméj osoby, a tak przypadkiem tylko list na miejsce przeznaczenia dostać się może. Napis zwykle jest taki: „Do Mustafy, Alego, Konstantego i t. d. co wcale szukania nie ułatwia; albowiem zdarza się nieraz, że w jednéj kwaterze miasta 40 osób jednego imienia mieszka, a natenczas należy oznaczyć proceder, a nawet rysy twarzy, aby dać jaką skazówkę oddawcy listu. Tym sposobem nieraz na liście kładzie się napis: do N.N. jednookiego, czarno brodego, zyzowatego, kulawego, garbatego i t. d., a ponieważ więcéj bywa osób jednego imienia z temi samemi ułomnościami, zatem list nieraz przez 20 rąk przechodzi, od wszystkich oglądany i czytany, aby się przekonać do kogo właściwie adressowany.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)